

Stoimy obecnie na instytucjonalnym rozdrożu, które może upodmiotowić społeczeństwo lub tę podmiotowość konsekwentnie tłamsić. Niestety, proces ten już się odbywa i zmierza w bardzo niepokojącą stronę. Wprawdzie nadal istnieją możliwości „grantowej partyzantki”, jednak podejmuje ją niewielu, a jeżeli nic się nie zmieni – 99% organizacji pozarządowych będzie li tylko smutnym wentylem bezpieczeństwa systemu, kanalizując chęć pomocy innym, frustrację i energię społeczną zamiast w konstruktywnych zmianach systemowych – w hodowli kaktusów i organizowaniu konferencji o tym, jak się organizuje konferencje, ewentualnie w wolontariacie na stadionach...

Nie zmienia to faktu, że Rubikon zniewolenia nie został jeszcze osiągnięty i NGO'sy są jednym z najważniejszych frontów, na których toczy się walka o wolność i faktyczne społeczeństwo obywatelskie.

*Marcin Janasik „Obywatelskość kontrolowana”*

Przy pełnej akceptacji i poszanowaniu określonych w § 3 **Działań podstawowych** należy podkreślić, że adresatami działań NGO-sów są mieszkańcy Zielonki, świadomi swych realnych potrzeb indywidualnych i zbiorowych. Organizacje tzw. pozarządowe powinny umożliwić artykulację i realizację tych potrzeb, przede wszystkim poprzez wspieranie samoorganizacji obywateli, i – co najważniejsze – wywieranie wpływu na działania władz publicznych.

Generalnie nie istnieją oczywiście żadne prawne obwarowania, które uniemożliwiłyby rozwój tzw. „społeczeństwa obywatelskiego”. Istnieje za to sporo czynników „miękkich”, zniechęcających „pozarządówkę” do angażowania się w działalność publiczną. Za najważniejsze z nich wypada uznać: mechanizmy przyznawania środków z funduszy dotacyjnych (grantowych), prywatyzację przestrzeni publicznej, politykę lokalową samorządów, dyktat mediów publicznych oraz wzorce zachowań przez te media promowane.

„Wspieranie rozwoju społeczeństwa obywatelskiego” jest deklarowanym celem bodaj wszystkich władz samorządowych i konkursów dotacyjnych. Realne tworzenie zrębów takiego społeczeństwa nie jest jednak mile widziane – o wiele łatwiej uzyskać środki na warsztaty, szkolenia czy konferencje, niż na faktyczną samoorganizację ludzi, zwłaszcza jeśli jej efekty miałyby choć ocierać się o kwestie publiczne. Sama procedura, wypełnianie dziesiątek stron wniosków jest niczym, w porównaniu z częstą koniecznością spływania samego projektu albo też kamuflowania w realizowanym projekcie wszelkich przejawów działalności animowania samoorganizacji adresatów projektów, które może prowadzić do formułowania stanowisk w kwestiach publicznych.

Na przykład – Często ogłasza się konkursy na tzw. promocję zdrowego trybu życia. Lecz z punktu widzenia grantodawcy jest niedopuszczalne, aby ci „amatorzy zdrowia” zaczęli się domagać likwidacji upokarzającego trybu zapisu na wizytę u lekarza, w formie wystawiania od najwcześniejszych godzin w długich kolejkach, (co przypomina system działający w łagrach - tam zapisy wyglądały podobnie!) ale np. wyłącznie zapisów przez telefon, odbierany przez 12 godzin. Owszem, w ramach takiego grantu można pobiegać, poskakać, odbyć szkolenie ze zdrowego odżywiania. I to wszystko. Organizacjom pozarządowym zostaje nieraz jedynie prowadzenie swoistej partyzantki - wykorzystywanie dla podnoszenia świadomości obywatelskiej środków przeznaczonych na działania bardziej „neutralne”.

Na straży skostniałego systemu grantów stoi jednak przede wszystkim brak przejrzystości samych zasad określania kierunków przyznawanych dotacji. Nie znam źródeł „objawienia”, z którego wynikałoby, że w Zielonce blisko 50% środków grantowych powinno iść na sport. Choć może to jest skutek jakiejś obsesji panującej wśród rządzących, której wynikiem np. był pomysł igrzysk olimpijskich w Krakowie, bezlitośnie odrzucony w przeprowadzonym referendum. Ale o ile referendum nie jest wymuszone (jak było w Krakowie) to do decyzji o podobnych konsultacjach potrzebna jest odwaga urzędników.

Na domiar złego, wiele polskich NGO'sów żyje w permanentnym strachu przed utratą głównego źródła finansowania, jakim są dla większości z nich granty na konkretne projekty. Taki system daje szafarzom grantów ogromny środek nacisku: maksymalnie krótkie okresy realizacji zadań zleczanych organizacjom umożliwiają szybkie i skuteczne sterowanie obszarami aktywności, bez oglądania się na hierarchię priorytetów istniejącą w powszechnej świadomości obywateli. Króluje tu – zamiast uczciwego partnerstwa - zasada 'divide et impera'.

Jest alternatywa. Dotacje instytucjonalne, czyli środki na konkretną, merytoryczną działalność samej organizacji, a nie na jednorazowe projekty czy akcje. Choć organizacje zyskałyby stabilność (umożliwiająca im stałe zatrudnienie niezbędnej administracji, pozyskiwanie dodatkowych środków na działalność, koordynację najważniejszych obszarów działania, a przede wszystkim najem pomieszczeń bez obawy, że za kilka miesięcy trzeba się będzie pakować), to - bez czytelnym procedur oceniania i odwoływania się od

tychże ocen - efekt może być niewystarczający, choć na pewno lepszy od dotychczasowego systemu grantów okazjonalnych. Z drugiej strony istnieje sporo organizacji nie posiadających żadnej misji poza (w najlepszym wypadku) doraźnymi działaniami dla realizacji partykularnych potrzeb niewielkich grup społecznych. Ale dobrze działający system dotacji instytucjonalnych jest w stanie oddzielić ziarno od plew.

Kolejną barierą, której nie udało się przełamać w Zielonce jest polityka lokalowa samorządu (a właściwie jej brak). Skoro w Zielonce brakuje mieszkań socjalnych, to i NGO'sy stoją na z góry przegranej pozycji w stosunku do firm komercyjnych. A władza stała się swoistą agencją nieruchomości, kierując się kryterium zysku, a nie potrzeb obywateli. Z reguły zielonkowskie organizacje społeczne są zmuszone do rejestrowania swojej działalności w domach prywatnych lub opłacania komercyjnego czynszu. Przy okazji warto zapytać, czy Urząd Miasta w ogóle płaci jakiś czynsz za zajmowany publiczny budynek?

A co do użytkowania publicznych lokali i pustostanów to priorytetem władz wydaje się być osiągnięcie „zysków”, i lepiej, aby budynek stał pusty, niż wynająć go NGO-som po stawkach preferencyjnych, nawet „na szczytny cel”, gdyż może za kilka, kilkanaście lat ktoś zechce go wykupić.

Wróćmy do Zielonki.

Analiza ankiet pokazała, że wskazanymi przez NGO priorytetami, uwzględniającymi potrzeby społeczności są: **działania za zakresu pomocy społecznej, działania na rzecz seniorów oraz rozwój wspólnot i społeczności lokalnych.**

Tymczasem okazuje się, że znów urzędnicy wiedzą lepiej, czego potrzeba poddanym. W proponowanym podziale środków zadziwia porażająca dysproporcja planowanych wydatków na „Wspieranie i upowszechnianie kultury fizycznej” (360 tys zł, czyli blisko 50% całej puli) i pozostałą resztę działań.

Dziwi mnie też koszt klubu „wolontariusza” dla opieki nad bezdomnymi psami (64 tys. zł), który pochłonie dwa razy tyle pieniędzy, jak „działania wspierające osoby w trudnej sytuacji życiowej, w tym chore, ubogie, bezdomne” (30 tys zł). Ten klub „wolontariusza” chyba można łatwo zastąpić dwoma ciepłymi etatami za 2.400 zł miesięcznie, i nie zawracać sobie głowy tak bardzo kosztownymi wolontariuszami. No i na pewno znajdą się chętni na objęcie posad „etatowych wolontariuszy”.

Generalnie proponuję istotnie zredukować finansowanie z puli NGO punktu „Wspieranie i upowszechnianie kultury fizycznej” jako dublującego działania, które powinny realizować: szkoły w formie szkolnych klubów sportowych czy zajęć pozalekcyjnych, oraz – w ramach swojego budżetu (i dla osób dorosłych) - OKIS. Proponuję pozostawić tyle, ile jest obecnie na kulturę, tj. 40 tys. zł. A tak zaoszczędzone pieniądze przeznaczyć zgodnie z autentycznymi priorytetami mieszkańców czy postulatami NGO. Przykładem zupełnego rozminięcia się wyobrażeń władzy i potrzeb obywateli była wspomniana olimpiada w Krakowie czy hala kolarstwa torowego w Pruszkowie. Nie idźmy tą drogą.

Proponuję więc inną drogę – Podobnie jak obywatele mają prawo przeznaczyć 1% podatku dla wybranej **przez siebie** organizacji, podobnie mieszkańcy Zielonki powinni mieć prawo do określenia priorytetów co do pożądanych działań lokalnych NGO. Mogłoby to mieć formę wręczenia mieszkańcom bonów na finansowanie działań zgodnie z listą zawartą w ustawie o działalności pożytku publicznego (33 działania) – i proporcjonalnie do pozyskanych bonów takie właśnie ustawienie celów finansowania. Jest to demokratyczne, uczciwe, pokazuje szacunek do autentycznych potrzeb mieszkańców.

Przy odgórnie narzuconych celach „zadania publicznego” nie jest możliwa uczciwa i wynikająca z głębokiego przekonania partycypacja uczestników przedsięwzięcia w jego planowanie, realizację i konsumowanie rezultatów wspólnego wysiłku. Bowiem ci bezpośrednio zainteresowani najchętniej podejmą się realizacji projektów, które nie są wydumane w urzędniczych gabinetach, ale mają sens i realnych adresatów.

Generalnie wypadaloby się zastanowić nad poważnym traktowaniem działań realizowanych przez NGO, jako działań cennych, pozbawionych sztywnego formalizmu. A przez poważne traktowanie rozumiem wspomniane wcześniej dotacje instytucjonalne i zlecenie długoterminowych projektów, służących zaspokajaniu najpoważniejszych potrzeb mieszkańców. Projektów, które z racji biurokratycznych barier nie mogą być zaspokajane przez inne instytucje. Proponuję też rezygnację z jednorazowych, pokazowych imprez o charakterze jarmarczno-odpustowym, które nie rozwiązują żadnego poważnego problemu. Tu jest pewnym wyjątkiem finansowanie jednorazowych z natury imprez kulturalnych – koncertów czy festiwali. Ale właśnie ogólna kultura składa się z takich cegiełek.

I jeszcze co do sensu dotacji instytucjonalnych. Ochotnicza Straż Pożarna jest organizacją pozarządową. Byłoby szaleństwem zlecenie jej zadań typu ugaszenie w ciągu kwartału dwóch pożarów, zdjęcie z drzewa trzech kotków itp. I do tego stałe odnawianie umów na lokal. Straż działa i wykonuje swoją rolę dzięki stabilnemu finansowaniu bez biurokratycznych niespodzianek, odrzuconych (z przyczyn formalnych wniosków itd. Znaczący są procedury, wypada tylko mieć chęć i odwagę je powielać.

Jerzy Górski